

Łukasz Maślanka: Bliskowschodnia konwergencja

Polityka państwa żydowskiego, założonego przecież przez socjalistów z Europy, ewoluuje coraz wyraźniej w kierunku nacjonalistycznym i radykalnie religijnym. Dokonuje się swoista konwergencja, która sprawia, że Izrael zyskuje respekt i postrach wśród swoich wrogów, lecz ceną za to jest przyjęcie jego wartości i metod działania – pisze Łukasz Maślanka dla „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Izrael. Państwo, które uwiera.

Warunki do powstania państwa żydowskiego w Palestynie stworzyły wielkie mocarstwa. Nie mogłoby ono jednak przetrwać, gdyby nie determinacja i heroizm Żydów związanych z różnymi odmianami ruchu syjonistycznego. Konstruktywistyczne odtworzenie mitu Ziemi Obiecanej w jego świeckiej wersji okazało się mieć niezwykłą siłę przyciągającą dla narodu, który w XX wieku miał – na marginesie globalnego konfliktu tychże mocarstw – stanąć na krawędzi biologicznej zagłady.

Izrael nie powstał z czyjejkolwiek życzliwości, lecz jako długoterminowa inwestycja: gdy okazało się, że agresywny nacjonalizm arabski jest znacznie lepszym rozsądkiem wpływów komunistycznych na Bliskim Wschodzie, sowiecki akuszer odwrócił się od państwa żydowskiego i zaczął podsycać nienawiść arabskich sąsiadów przeciwko niemu. Pojawił się nowy, o wiele potężniejszy sojusznik, który zapewnił

Izraelowi awans do klubu najbogatszych krajów świata w zamian za zgodę na prowadzenie w swoim imieniu zastępczej rozgrywki geopolitycznej z lokalnymi sojusznikami ZSRR. Po upadku bloku wschodniego, gdy największym wyzwaniem dla Zachodu stał się fanatyczny islam, z którym wszystkie mocarstwa deklaratorywnie walczą a po cichu wiele współpracuje, Izrael szybko dostosował się do cynizmu wielkich graczy i obwołał obrońcą świata zachodniego. Tymczasem polityka państwa żydowskiego, założonego przeciw przez socjalistów z Europy, ewoluuje coraz wyraźniej w kierunku nacjonalistycznym i radykalnie religijnym. Dokonuje się swoista konwergencja, która sprawia, że Izrael zyskuje respekt i postrach wśród swoich wrogów, lecz ceną za to jest przyjęcie jego wartości i metod działania. Wśród świeckich i demokratycznych Żydów zamieszkujących Izrael coraz częściej pojawia się pytanie, czy warto umierać za państwo ortodoksów i nacjonalistów.

Czy syjoniści byli świadomi tego, że uzyskana z mniejszym lub większym trudem zgoda mocarstw na proklamację Izraela jest moralną pułapką? Militarne przygotowania nacjonalistów Żabotyńskiego świadczą o tym, że brano pod uwagę, iż zakładanie państwa żydowskiego będzie związane – podobnie jak w czasach biblijnych – ze zbrojnym zaborem cudzej ziemi. Dominujący w ruchu syjonistycznym i w polityce izraelskiej do połowy lat 70. lewicowcy woleli sprawę taktownie przemilczeć lub pozostawać na poziomie niezobowiązujących nadziei na porozumienie. Czy można jednak mieć do Żydów jakiegokolwiek pretensje? Naród przez nikogo nie chciany, a mimo to wszędzie z taką bezczelnością zdeterminowany, by przetrwać, uzyskał po dwóch tysiącach lat szansę na założenie własnego domu. To prawdziwe szyderstwo losu, że utrzymanie tego domu wymaga stosowania środków, których ofiarami wcześniej bywali Żydzi na przestrzeni wieluset lat swojej egzystencji w diasporze.

***Kraje naszego regionu
powinny udowodnić, że
są prawdziwymi
przyjaciółmi Izraela
poprzez aktywny udział
w wypracowywaniu
strategii UE wobec tego
zapalnego obszaru***

Świat arabski
traktuje istnienie
Izraela jako osobistą
obrazę. Widzi w tym
celowe działania
świata krzyżowców,
którego celem jest
upokarzanie i
wywłaszczenie

wyznawców Proroka. Muzułmanie nie są w stanie zauważyć, że – zakładając nawet, iż w ich rozumowaniu tkwi ziarno prawdy – stają się elementem tej diabelskiej taktyki w momencie przyzwolenia na przemoc w walce z Izraelem i światem zachodnim. Samo państwo żydowskie, stosujące od początku swojego istnienia zasadę sprzymierzania się z silnymi tego świata przeciw słabszym, nie miało żadnych skrupułów, by utwierdzać Arabów w tym przekonaniu: zarówno wtedy, gdy wymagały tego racje egzystencjalne (irygacja Jeziora Genezaret będąca powodem Wojny Sześciodniowej), jak i wtedy, gdy okoliczności nie wymagały arogancji i agresji (faktyczny, prewencyjny apartheid w stosunku do arabskich obywateli państwa żydowskiego i mieszkańców Zachodniego Brzegu). Potomkowie ofiar segregacji i ludobójstwa zrozumieli, że światem rządzi zasada wojny wszystkich przeciwko wszystkim, w których więksi zjadają mniejszych. Na Bliskim Wschodzie, „skrwawionych ziemiach” współczesnego świata toczy się konflikt narodów i religii sfanatyzowanych w ramach różnych „fałszywych świadomości”: sunnickiej, szyickiej, żydowskiej, kurdyjskiej, tureckiej. Nie ma w tym konflikcie strony, która miałaby szansę na jakiegokolwiek realne zwycięstwo. Nie ma też jednego zewnętrznego beneficjenta tego zamieszania, jakiejś ukrytej masonerii pociągającej za sznurki zza kulis. Beneficjentami są wszyscy ci, którzy

wygrali na chwiejącym się obecnie łądzie światowym, w których ojczyźnie nie toczy się obecnie żaden zastępczy konflikt mocarstw. Beneficjentami bliskowschodniego Huis Clos jesteśmy także i my.

Tłący się i wciąż podsycany przez zainteresowane „osoby trzecie” konflikt polsko-ukraiński, a także wiele innych antagonizmów na „skrwawionych ziemiach” Europy Środkowej i Wschodniej powinny wyzwać w nas, zarówno w stosunku do Izraela, jak i w stosunku do świata arabskiego, pewnego rodzaju empatię wyższego rzędu. Empatia ta kazałaby nam powstrzymać się od usprawiedliwiania zbrodni którejkolwiek ze stron, głośno natomiast mówić, że wykorzystywanie przez mocarstwa lokalnych konfliktów, wywoływanie ich i podniecanie, zamrażanie na dziesięciolecia i aktywizowanie w dogodnej sytuacji jest zbrodnią przeciwko ludzkości oraz przeciwko pokojowi. Nie przyczyni się to prawdopodobnie w żaden sposób do rozwiązania tego konfliktu, lecz pozwoli nam samym wyleczyć się z wirusa geopolitycznego cynizmu.

Podsycane od kilkunastu lat zainteresowanie rolą narodów Europy Środkowej i Wschodniej w zbrodni Zagłady spowodowało, że inkryminowane państwa poczuły się w obowiązku hamować działania Unii Europejskiej mające na celu skłonienie państwa żydowskiego do większej względności w stosunku do Palestyńczyków. Działania te czasami są bardzo głupie (choćby oznaczanie towarów żydowskich produkowanych na Zachodnim Brzegu), ale reakcją naszej strony bywa znieczulica na wszelkie rzeczywiste przewinienia Izraela w nadziei na jakiś przyjazny pomruk z Jerozolimy w kierunku tej części Europy, która na co dzień – w sposób prymitywny i uproszczony – bywa przedstawiana jako matecznik światowego antysemityzmu. Zdarza się jednak również, że proizraelskość staje się swoistym listkiem figowym

dla rodzimego agresywnego nacjonalizmu, co można zaobserwować w polityce Rosji, Ukrainy, Węgier, a w mniejszym stopniu także i Polski. Pozostaje nadzieja, że płynące obecnie z USA zapowiedzi nieodpowiedzialnych działań – jak przeniesienie ambasady z Tel Awiwu do Jerozolimy – nie spotkają się z oddźwiękiem w naszym regionie. Niezależnie od iluzorycznych korzyści, jakimi rząd Benjamina Netanjahu mógłby mydlić oczy wschodnioeuropejskim politykom, spadłaby na nas odpowiedzialność za kolejny masowy i nieunikniony rozlew krwi (arabskiej, żydowskiej, chrześcijańskiej) na Bliskim Wschodzie. Kraje naszego regionu powinny udowodnić, że są prawdziwymi przyjaciółmi Izraela poprzez aktywny udział w wypracowywaniu strategii UE wobec tego zapalnego obszaru. Przywódcy niektórych państw zachodnich (np. Szwecji), pozostając pod wyraźnym wpływem elektoratu muzułmańskiego, próbują wykoleić te działania w kierunku niemożliwym do zaakceptowania dla Izraela. Istnieje jednak obecnie ryzyko, że Donald Trump, realizując swoje zobowiązania przedwyborcze, pozwoli z kolei Jerozolimie na działania, które doprowadzą do nowych tragedii. Unia Europejska powinna mówić jednym głosem i zwiększyć presję na Liban, Izrael, Jordanię, Egipt i Palestyńczyków, tak aby nie robiły niczego, co mogłoby osłabić znaczenie sił umiarkowanych w swoich krajach. Nadzieja na pokój między Izraelczykami a Palestyńczykami powróci wtedy, gdy Żydzi zrozumieją, że silna pozycja Fatahu jest ich długofalowym interesem. Problem w tym, że Izraelem rządzi wciąż pokolenie ukształtowane w nienawiści do Arafata i Abbasa, tak jak politykę Stanów Zjednoczonych kontrolowali ludzie kultywujący swoją nienawiść do Kaddafiego i Husajna w czasach, gdy ci dawno przestali być groźni. Efekty znamy.

Polska dyplomacja nie może sobie pozwolić na ton szwajcarskiej bezstronności, który pobrzmiwa w powyższym tekście. Obecny system sojuszy i porozumień międzynarodowych jest jedyną promesą naszego

bezpieczeństwa i nie mamy obowiązku wyrzekać się prawa do spokojnego życia z powodu licznych niesprawiedliwości generowanych przezeń w innych miejscach świata,. Pozostaje jednak nadzieja, że zbliżająca się dwuletnia kadencja naszego kraju w Radzie Bezpieczeństwa ONZ zostanie wykorzystana, by po raz pierwszy od może nawet XVIII wieku przemówić naprawdę własnym głosem w sprawie ludobójczych konfliktów i niemożliwych do zniesienia warunków życia, jakim podlegają ludzie w różnych miejscach świata, płacąc w ten sposób cenę naszego spokoju i dobrobytu. Prezydent Andrzej Duda, przemawiając chociażby na forum ONZ czy Unii Afrykańskiej, udowodnił, że Polska jest w stanie wyzwolić się z roli mentalnego kamerdynera supermocarstwa i powiedzieć coś interesującego dla przedstawicieli krajów bardzo od nas oddalonych. Warto, by inne osoby odpowiadające za polską politykę zagraniczną i obronną poszły w jego ślady.